GLOBALNIE · OPINIA

SCENARIUSZE CYRYLICĄ PISANE. BANDERYZM, ROSJA I POLSKA NAIWNOŚĆ

Paweł Porzerzyński · 15 września 2026

W polityce można długo blefować, grać nie swoimi kartami i podbijać stawkę cudzymi pieniędzmi. W końcu jednak ktoś mówi: „sprawdzam". Nie daj się oczarować, żeby się nie rozczarować – mówi z kolei rosyjskie powiedzenie. W stosunkach polsko-ukraińskich jest to rada całkiem użyteczna.

Ostap Bender, Stepan Bandera i ukraiński sposób myślenia o polityce

Pierwotnie niniejszy tekst miał być prostą, surową opowieścią o tym, jak Ukraińcy w XX wieku kolejno wystawiali do wiatru swoich sojuszników, co do dziś stanowi ich *modus operandi*. Po rosyjsku – *poczierk*, czyli charakter pisma zdradzający autora. Taka opowieść okazała się jednak mało czytelna i nie dość przekonująca, dlatego przerobiłem ją na krótki, erudycyjny opis strategicznego mentalu Ukraińców, z którym *nota bene* oni sami wcale się nie kryją. Pokazała to choćby scysja między prezydentami w Gabinecie Owalnym Białego Domu, gdzie Ukraińcy udowodnili Amerykanom, że najchętniej graliby kartami, które los rozdał komuś zupełnie innemu, i budowali własną pozycję, szastając cudzymi pieniędzmi. A przy tym posługiwali się szantażem moralnym wobec kontrahenta, który zaczął już myśleć kategoriami biznesowymi.

Na wstępie zaznaczę tylko, że niniejszy opis, choć miejscami przykry i krytyczny, chciałbym jednak nasycić serdeczną życzliwością wobec ludzi nie tylko zmuszonych do obrony i odnajdywania własnego miejsca na ziemi, lecz także trapionych wzmożeniem, nadwrażliwością i gorączkowymi bolączkami tożsamościowymi. Bolączkami nieznanymi ludziom, którzy na bezczelne pytanie „kto ty jesteś?" odruchowo i równie bezczelnie odpowiadają: „Polak mały".

No cóż. Jak mawiają oni i Rosjanie – znałby wykup, żyłby w Soczi. Czyli na bogato. To aluzja także do gier karcianych, w których licytuje się jeszcze nieznane karty, by ewentualnymi atutami podmienić posiadane blotki. Albo przyjąć równie mało wartościowe, jeśli akurat jest się na musiku. Czasami są to zagrywki niemal pokerowe, jak choćby uroczyste przekazanie przez Chruszczowa socjalistycznej Ukrainie Półwyspu Krymskiego, przy którym nasz „dar narodu radzieckiego im. Józefa Stalina" od samego początku wygląda jak jakiś śmieszny „pan Pikuś". Częściej jednak są to po sowiecku ordynarne blefy, o czym dopiero na końcu.

Tak się bowiem składa, że Ukraińcy podmienili sobie bohaterów masowej wyobraźni o bardzo podobnych danych osobo-poznawczych. Przeszli od fascynacji Ostapem Benderem do kultu Stepana Bandery. Czyli zamienił stryjek siekierkę na kijek – albo, inaczej mówiąc, z wiosennego deszczu pod zardzewiałą rynnę.

Znany dzięki powieściom doby radzieckiej wielki kombinator Ostap Ibragimowicz – syn Ibrahima – posługujący się nazwiskiem Sulejman-Berta-Maria-Bender-Bej vel Bender-Zadunajski, choć był postacią fik-

cyjną, miał fantazję i polot przewyższające nawet warszawskiego cwaniaka, o poczciwie safandułowatym lwowskim baciarze nie wspominając. Do tego dochodził urok osobisty na miarę innej legendy odeskiego półświatka, Soni „Złotej Rączki", urodzonej w biednej podwarszawskiej wsi „Pawiaski", które z trudem rozszyfrowałem jako graniczące dziś ze Śródmieściem dumne Powązki.

Jednym słowem, Bender to typ spod ciemnej gwiazdy, jak wielu innych ukształtowany przez twarde realia wielkomiejskiej ulicy – slangowo: „Odessa-mama i Rostów-papa". Na opisywaniu żywotów takich ludzi Izaak Babel zrobił świetną, czyli światową, karierę literacką, uwieńczoną honorowym rozstrzelaniem z rozkazu samego generalissimusa Stalina. Honorowym, bo równie dobrze mogli go, dajmy na to, publicznie powiesić.

Inaczej było z koturnową postacią Stepana Bandery, który dorastał w atmosferze kompleksu człowieka drugiego sortu w i tak zaściankowej „Golicji i Głodomerii", jak sarkastycznie przezywano habsburski region noszący oficjalną nazwę Królestwa Galicji i Lodomerii. Z tymi koturnami to oczywiście kolejna złośliwość, ponieważ człowiek ten był nikczemnej postury, co zapewne również rzutowało na jego kompleksy. Według rosyjskiej propagandy Bandera utwardzał sobie charakter, wyrywając muchom skrzydełka i wydłubując kotom oczy, co profilowałoby go jako typowego seryjnego mordercę – w rosyjsko-ukraińskim skrócie: maniaka. Na podobieństwo urodzonego w obwodzie sumskim Andrieja Czikatiły, jeszcze jednego bohatera zbiorowej wyobraźni przestrzeni postsowieckiej.

Jeśli więc pewien brytyjski recenzent zalicza *Prowadź swój pług przez kości umarłych* do najlepszych książek świata, doceniając nowatorski i radykalny sposób, w jaki noblistka miała opisać tkwiące w polskiej kulturze okrucieństwo, to chyba robi to wyłącznie z braku etnologicznego rozeznania. Najwyraźniej zabrakło konsultacji z Normanem Daviesem, który wyjaśniłby mu, jaki poziom okrucieństwa został wpisany w kulturę stepowych ludów Eurazji.

Ukraińskie scenariusze pisane cyrylicą. Sojusze, geopolityka i narodowy charakter

Kiedy w 2018 roku, podczas pewnego spotkania autorskiego, powiedziałem Wielkiemu Strategowi Geopolityki o swojskim nazwisku Bartosiak, że trzeba się interesować scenariuszami pisanymi cyrylicą, poczuł się jakby osobiście dotknięty. Zareagował wyższościowo, a więc w sposób typowy dla przepisywaczy tekstów anglosaskich, dla których wsłuchiwanie się w głosy ludów trzeciego świata – takich jak, ich zdaniem, Polacy – jest marnowaniem czasu. Mniej złośliwie: chodziło o to, że wtedy już samo wyrażenie „scenariusze pisane cyrylicą" pachniało „ludem smoleńskim" i „prawacką szurią".

Odnosiłem się wówczas do rosyjskiej książki o banderyzmie jako egzystencjalnym zagrożeniu dla bytu Rosji. Było to sprawozdanie z konferencji naukowej historyków posiadających jednocześnie stopnie naukowe i związki z KGB. Bo tam się w tańcu nikt nie opuszcza. Skoro nawet filmy kostiumowe sponsoruje im towarzystwo historyczno-wojskowe, to najbardziej nawet upolitycznione IPN-y mogą takim fachurom co najwyżej nagwizdać.

Być może moment był nieco nieszczęśliwy, bo spotkanie promowało *Strollowaną rewolucję*, a popularny publicysta Rafał Ziemkiewicz przeżywał właśnie gorycz niewpuszczenia go do Wielkiej Brytanii – z podpuszczenia rewolucyjnych trolli właśnie. Tych samych trolli, którzy niewiele później pojawili się w roli Wielkich Ekspertów od tropienia cyrylicy i do dziś toczą w tej sprawie spory sądowe. Ot, takie preludium do

wojny pełnoskalowej, pod szokująco trafnym tytułem „To jest wojna".

A jeśli już jesteśmy przy kompetencjach eksperckich: jak ktoś się nazywa Klementyna Suchanow, to siłą rzeczy musi wiedzieć o Rosji więcej niż ci, których nazwiska kończą się na -ski i -cki, a nawet -icz i -uk. Swoją drogą, jak oni to zrobili, że ukraińskie nazwiska kończą się właśnie na -uk?

> Ale, jak łatwo było zgadnąć, już cztery lata później, w 2022 roku, wszyscy ci stratedzy, duzi i mali, tak jakoś nagle zaczęli doceniać rosyjskie scenariusze. Przy czym ja to doskonale rozumiem, ponieważ zgodnie z jednym z tzw. praw Murphy'ego, jeśli ktoś wie coś piętnaście minut wcześniej od innych, to w ich oczach przez cały ten kwadrans pozostaje skończonym durniem.

Doszedłem więc do wniosku, że przyszła pora coś im uświadomić. Otóż ukraińskie scenariusze są pisane cyrylicą – i to nawet w dosłownym znaczeniu tego wyrażenia. To trochę jak uświadomienie aspirującemu do szlachectwa mieszczaninowi, że skoro nie mówi wierszem, to posługuje się prozą. Może niezbyt sprawnie, ale jednak.

A konkretniej: rosyjskie powiedzenie o stawianiu wszystkich kropek nad „i" odnosi się do litery, którą w Petersburgu i Moskwie zlikwidowano w ramach reformy ortograficznej, ale w Kijowie postanowiono zachować. Być może ktoś zostanie z tą informacją jak Himilsbach z angielskim, ale zapewniam, że ma ona znaczenie.

W ramach wirtualnej wojny polsko-polskiej, wśród gombrowiczowskiego strojenia min i doprawiania gęby, zaczyna się dziś rozważać, czy aby ta matczyna, bezwarunkowa miłość do Ukraińców naprawdę nam się opłaca. Jedni mówią, że oni nas przed Ruskimi bronią, a jeśli nawet nie do końca, to przynajmniej nie mamy osławionych tanków na Bugu – tych samych, ze strachu przed którymi towarzysz Jaruzelski miał ogłosić stan wojenny. Inni odpowiadają, że to ich wewnętrzna sprawa, której sami nie ogarnęli, a teraz szukają Leszka na kajak. Biorąc pod uwagę, że ten Leszek to Lach, czyli Lechita, jest to bardzo niepokojące powiedzonko – coś w stylu „mądry Polak po szkodzie".

Z punktu widzenia solidnie już ugruntowanych poglądów sztuki wojennej dylemat ten nie jest zero-jedynkowy, choć niestety daje efekt czegoś w rodzaju ujemnej synergii. Otóż sojusznik sojusznikowi nierówny, jak mawiał Hitler o włoskiej waleczności. Bo na przykład uwielbiany przez Polaków generał Patton i niespecjalnie przez nich ceniony marszałek Montgomery zwyczajnie, tak po ludzku, niemal się nienawidzili.

W skali geopolitycznej amerykańska pomoc wojenna wprawdzie ocaliła Francję i Wielką Brytanię, ale jakoś nie zapobiegła ich geopolitycznej deklasacji. Wszystko w ramach wspierania dekolonizacji, czyli zastępowania konkwistadorskiego kolonializmu kompradorskimi relacjami postkolonialnymi. W rezultacie Francja stała się krajem dość kuriozalnym: dwukrotnie ratowanym przez Jankesów z ciężkiej wojennej opresji i najpewniej właśnie dlatego cierpiącym na młodzieńczo radykalną amerykofobię.

Tak więc, skoro znać należy języki nie tylko przyjaciół, lecz także wrogów, tym bardziej trzeba rozpoznawać narodowe charaktery jednych i drugich. Zgodnie z rosyjskim powiedzeniem: nie daj się oczarować, żeby się nie rozczarować.

Banderyzm na Ukrainie. Polityka historyczna, propaganda i sowieckie schematy

Promocja banderyzmu jako ideologii państwowej Ukrainy – od początku bohatersko, a dziś coraz bardziej desperacko walczącej – jednocześnie zaskoczyła i zniesmaczyła Polaków.

Oburzeniu towarzyszyły rozmaite próby wyjaśnienia tego zjawiska: od proniemieckiego pivotu, przez potrzebę przykrywania kolejnych afer korupcyjnych, aż po wskazanie Polski jako winnej nadchodzącej klęski. Bo po latach cudotwórczych obietnic za klęskę zostanie zapewne uznane zamrożenie konfliktu według *status quo*, a nie *status quo ante*. Czyli bez szans na odzyskanie terytoriów czasowo okupowanych albo de facto – a według niektórych interpretacji niemal de iure – inkorporowanych.

Z kolei Ukraińcy niesprzyjający obecnemu prezydentowi tłumaczą to jego ignorancją i zastępczym charakterem tematu, co brzmi raczej jak usprawiedliwienie. Tym bardziej że jednocześnie nieproste przecież stosunki polsko-ukraińskie chcą widzieć postmodernistycznie, przez pryzmat modnego dziś „postkolonializmu" po „wielowiekowej okupacji". Bez cienia wstydu, a nawet refleksji, kopiują przy tym zarówno styl, jak i argumentację kremlowskiej propagandy.

Językiem młodzieżowym można by więc powiedzieć: podwójny samobój.

Po pierwsze, z wdziękiem słonia w składzie porcelany po raz kolejny weszli na te same zastawione na nich grabie. Walka z ukraińskim nazizmem nie jest bowiem wydumką Putina z 2022 roku, lecz projektem strategicznym realizowanym co najmniej od pijarowego sukcesu pierwszego Majdanu, zwanego pomarańczową rewolucją. Po drugie, kolportując antypolską narrację i posługując się bezpieczniackimi metodami, Ukraińcy piłują gałąź, na której siedzą, podważając etyczny sens wspierania ich wysiłku wojennego – wsparcia, które ekonomicznie i militarnie osłabia również nas.

Bo nie jest to kwestia narodowej naiwności zaszczepionej nam przez Miłosza czy innego Giedroycia, lecz twarda gra geopolityczna, w której podstawowym czynnikiem pozostaje percepcja poziomu zagrożenia ze strony rosyjskiego imperializmu. Choć trzeba przyznać, że słabo się słucha prawosławnych braci Słowian z uznaniem opowiadających, jakim to Giedroyć był zuchem, bo po wiekach mickiewiczowsko-sienkiewiczowskich bajek Polacy nareszcie przyznali, że Wilno, Lwów i Grodno nigdy nie były polskimi miastami. Mniej mnie obchodzi, co na to schodząca ze sceny okrągłostołowa michnikowszczyzna; bardziej ciekawi mnie, jak czują się z tym koledzy z rosnącego w siłę Klubu Jagiellońskiego.

Wątek „postkolonialnych bólów fantomowych" po polskich Kresach – nie daj Boże po Małopolsce Wschodniej, bo to, cytuję, „analog Małorosji" – pięknie konweniuje z rosyjskim dowcipem o Czukczy, który ze zdziwieniem pyta, jakim prawem największy niemiecki filozof leży pochowany w świętej rosyjskiej ziemi, czyli Kaliningradzie. Dodałbym jeszcze, że dokładnie takim samym prawem, jakim największa caryca Rosji urodziła się w polskim Szczecinie, a zajmująca jedynie niewielkie wzgórze Wawelu garstka Polaków niecnie wypędziła zacnych mieszczan niemieckiego Krakowa. To ostatnie już nie ode mnie – materiał nadal można znaleźć na rosyjskim YouTubie.

W końcu problemem nie jest cynicznie zinstrumentalizowana polityka historyczna, lecz samo przekonanie, że cała ta przeceniana historia jest jedynie współczesną interpretacją przeszłości. Przynajmniej zdaniem Putina oraz – jak się okazuje – coraz większej części zwykłych Ukraińców.

Wychodzi więc na to, że absolwenci sowieckiej szkoły historiozofii także na Ukrainie nie próżnują. A przy takim poziomie świadomości procesów dziejowych każdemu narodowi można wcisnąć właściwie dowolną politykę historyczną.

Przy czym, już zupełnie serio: jeśli partyzanci UPA w strasznych czasach przymusowej kolektywizacji prowadzonej na terenach byłych polskich Kresów ratowali ludność przed śmiercią głodową, za co później wieszano ich na płotach i framugach drzwi ratusza, to dla tych ludzi byli bezwarunkowo bohaterami. Niezależnie od tego, kto dla postrachu ich wieszał. A nie robili tego mityczni Moskale z Kałmukami, lecz często tacy sami Ukraińcy – tyle że stojący po drugiej stronie ideologicznej barykady.

Kiedyś słyszałem wykład rosyjskiego liberała, który stwierdził, że skoro Polacy i Finowie potrafili złożyć broń i uznać bezsens dalszej walki z ustaleniami jałtańskimi, tym bardziej powinni byli zrobić to sowieccy Ukraińcy. Finowie z Berlinem przegrali, Polacy z Londynem wygrali, ale się poddali, a Ukraińcy z Moskwą mogli tylko wygrać.

Powyższy przykład pokazuje jednak, że fenomen „wyklętych-niezłomnych" wymyka się rozumowaniu człowieka, który chce widzieć świat w jednoznacznych kategoriach, na podświadomym poziomie myląc propagandę z taką czy inną nauką. Jeśli ktoś twierdzi, że druga konspiracja ukrywała się po lasach „z nawyknienia", to mimowolnie potwierdza, że przypisuje jej cechy lombrozowskiego bandyty.

Wobec tego wszelkie dywagacje o tym, czy wolno porównywać jednych bohaterów z drugimi, mają wartość najwyżej wyłudzonej wierszówki. Podobnie zresztą jak przekomarzania o tym, co jest „zbrodnią niesłychaną", a na co należałoby przymknąć oko. Zgodnie ze stalinowską zasadą, że białoruskie niemowlę pozostawione, wbrew poleceniu, w podpalonej przez polskich żołnierzy chacie to nie tylko tragedia, lecz także okrutna zbrodnia, podczas gdy rozliczanie wołyńskiego ludobójstwa sprowadza się już tylko do statystyki.

Ale taki bezwarunkowy kult bohaterów, bezkompromisowo abstrahujący od ich wcześniejszych wyczynów, również wyrasta z mentalności sowieckiej, a konkretnie postbolszewickiej. Jak mawiał Mao: rewolucja to nie proszony obiad czy inne tam przedstawienie.

Przykładowo, jeszcze nie tak dawno słyszałem młodego Ukraińca z dumą nazywającego siebie komunistą, cytuję: „bo komuniści chcą dobra dla wszystkich ludzi", oraz młodego Rosjanina tęskniącego za przeszłością: „bo może wam, Polakom, było wtedy źle, ale nam, Rosjanom, było bardzo dobrze". I nie są to starcze sentymenty za czasami, kiedy człowiek był młody, piękny i zdrowy – bo raczej nie bogaty – pojechał na czołgu do Czechosłowacji, a potem i „w tym kraju" zrobił stan wojenny. Bardzo kulturalnie zresztą.

Na obszarze postsowieckim są to skutki naprawdę bezwzględnej i brutalnej, wielopokoleniowej indoktrynacji. Jej ofiary mogą wprawdzie przyjąć nową narrację, ale nakładają ją na stare schematy, dodatkowo przesączając przez specyficzną mentalność.

Ukraiński charakter narodowy, czerwono-czarna flaga i zrekonstruowana tradycja

Temat ukraińskiego charakteru narodowego trzeba zacząć przewrotnie – od rzucenia kamykiem do własnego ogródka.

> Otóż potępianie narodu w czambuł jest takim samym błędem logicznym jak jego aprioryczne rozgrzeszanie. Bo nie jest tak, że wszyscy ludzie są tacy sami. Nakręcenie filmu o dobrym Rosjaninie nie musi więc oznaczać ciosu w plecy zadanego wszystkim Ukraińcom i całej Ukrainie.

Swoją drogą, dokładnie tak samo potępiano kiedyś kreowanie w kinie postaci dobrego Niemca – choćby granego przez Marlona Brando w *Młodych lwach* – podczas gdy dziś wmawia się publiczności, że warszawskie powstanki nie walczyły z frycami, helmutami, szkopami, szwabami, krautami i innymi niemiaszkami – i co to w ogóle za mowa nienawiści? – tylko z nazistami, cytuję: „takimi jak Robert Bąkiewicz". Co dobitnie pokazuje, jak głupia potrafi być również nasza współczesna interpretacja przeszłości.

Narodowe potrzeby warto rozumieć i szanować nie tylko u siebie, ale także na wyjeździe. Warto choćby próbować zagłębić się w fakt recepcji i przywiązanie Ukraińców do czerwono-czarnej flagi i zawołania „Sława Ukrainie – herojam sława". Obecnie barwy te – abstrahując od wątku banderowskiego – objaśnia się również zgodnie z zasadami heraldyki jako symbolizujące krew i ziemię, a bardziej poetycko: słynny ukraiński czarnoziem. Podobnie barwy błękitno-żółte – bo tak brzmi ich ukraińska nazwa – mają symbolizować niebo nad ukraińską ziemią „wyzłoconą" słonecznikami, pszenicą i nadmorskim piaskiem. Wspólna krew przelana za ziemię to trochę kozacki ekwiwalent tradycyjnego rozumienia więzi wynikającej ze wspólnoty krwi w sensie etnicznym. Mówienie o etnosie kozackim jest bowiem nieporozumieniem. Nie było to nawet odrębne społeczeństwo, lecz społeczność wyodrębniona w ramach systemu stanowego – obok „chłopa, pana i plebana", ale także mieszczanina i Żyda – z własnymi obowiązkami, prawami i przywilejami.

Czerwono-czarną flagę widzimy obok błękitno-żółtej na obrazie Ilii Repina przedstawiającym zdarzenie bardziej anegdotyczne niż historyczne: Kozaków zaporoskich piszących wulgarnie znieważający list do sułtana Mehmeda IV. Samo zdarzenie również jest symptomatyczne. Sułtan domaga się zaprzestania grabieży i rozbojów, zwyczajowo wyliczając wszystkie swoje ziemie tytularne na dowód imperialnej potęgi. Na to brać kozacka odpowiada wyszukanym „ruskim matem" – od k...wa mać, ale z wyraźnym nawiązaniem do szachów – żeby zarozumialcowi pokazać, że przed żadnym zewnętrznym ultimatum się nie ugnie. Swoim zbójeckim prawem Kozacy nadal będą rabować dobytek i porywać ludzi, a niezadowolony z tego sułtan może sobie pisać, ale na Berdyczów.

Brzmi znajomo? Bo musi. Oto kulturowe korzenie buńczucznego, *nomen omen*, oświadczenia, że nikt nie będzie Ukraińcom pisał historii.

Czerwono-czarne barwy widzimy również u Józefa Chełmońskiego – na kozackich mundurach. Przy czym są to już zupełnie inni Kozacy: carscy, chutorowi osadnicy i etatowi kawalerzyści, zaledwie podszywający się pod dziedzictwo naddnieprzańskiej demokracji wojskowej. To obcesowe wmieszanie się do ukraińskiej historii czarnosecińców „Trzeciego Rzymu" najwyraźniej jednak nie przeszkadza Ukraińcom w pozytywnej ocenie wspólnych barw wojennych. Co w dość kompromitujący sposób spina autentyczne pogromy – inicjowane na polecenie carskiej policji politycznej, tzw. Ochrany, choć systemowo mylone z polskimi, wyłącznie spontanicznymi linczami i tumultami – z udziałem ukraińskich esesmanów w Holokauście. Tym razem zresztą również w czarnych mundurach.

Czerwono-czarna flaga i tradycja zrekonstruowana

Przede wszystkim trzeba jednak wiedzieć, że kwestia barw czerwono-czarnych wpisuje się w rozbudowaną socjologicznie – a może nawet rozbuchaną – teorię tradycji zrekonstruowanej. Przy okazji w sposób niemal trockistowski rozwija ona przypisany tu Putinowi wątek współczesnej interpretacji przeszłości. Same barwy są przecież zupełnie neutralne: na swoich flagach eksponowali je także hiszpańscy anarchiści. Czy może anarchosyndykaliści?

Oznacza to, że symbolika interpretowana z perspektywy antropologii kulturowej – tej od mitów, figur i narracji – zaczyna nie wystarczać, a jej adresat powraca do mądrości wcześniejszego etapu antropologii etnograficznej: tej od kuchni i strojów, śpiewów, tańców i podobnych ludycznych obyczajów. Wszystko po to, żeby dialektycznie wypełnić formę jakąś namacalną treścią. Albo odwrotnie – zwizualizować abstrakcyjne treści. *Vide* figura Żyda w jasełkowym korowodzie. Albo jeszcze inaczej: żeby wydumaną przez siebie figurę – na przykład owego Żyda – jakoś uzasadnić.

Początki rekonstruowania tradycji były jednak bardziej romantyczne – i to dosłownie – ponieważ praktykę tę przypisuje się XIX-wiecznym miłośnikom szkockiego folkloru, swego czasu w zasadzie wytępionego. Podobno również klasycystyczne ganki z filarami wcale nie stanowiły obowiązkowego elementu szlacheckiego „białego" dworku. W Żelazowej Woli była nawet ekspozycja, z której wynikało, że takie ganki dobudowywano zabytkom już po 1918 roku. Spotkało to również budynek, w którym urodził się i mieszkał Fryderyk Chopin.

Jeżeli więc na podobne zabiegi zdecydował się naród polski, ze swoim wielowiekowym, mimo strat wojennych znakomicie udokumentowanym tysiącletnim dziedzictwem, to wtrącanie się w takie detale narodowi – jak chciał Dmowski – niehistorycznemu jest zbędną fatygą. Przyjmijmy nawet, że naród nie jest więzią etniczną, która zaspokaja potrzeby i nakłada zobowiązania, lecz tą całą „wspólnotą wyobrażoną". Z tej ułomnej, ale warunkowo akceptowalnej perspektywy wynika, że jeżeli Ukraińcy na wpół kreatywnie zrekonstruowali sobie aż dwie flagi – pokojową i wojenną – to niech im tak będzie. Tym bardziej że im flaga prostsza, a jej barwy bardziej podstawowe, tym łatwiej przedstawiać ją jako znak o dawnym i oczywistym rodowodzie. A tu akurat współczesna Ukraina porusza się w obszarze prawosławnej mitologii, konkurując o palmę pierwszeństwa ze współczesną Rosją.

Nieco tylko abstrahując: niedawno zorientowałem się, że podobnie jak Cervantes współtworzył język kastylijski, bardziej znany pod nazwą hiszpańskiego, Gutenberg – niemiecki, a Szewczenko – ukraiński, tak nowoczesny język rosyjski jest w ogromnej mierze dziełem Puszkina. Ten zaś niekoniecznie tylko podbierał słowa swojej plebejskiej niańce – niczym Chopin mazowieckie czy kujawskie melodie – lecz również kreatywnie je generował. A wszystko to stulecia po tym, jak nasza grafomańska szlachta seryjnie produkowała pisemne pamiętniki, przy okazji utrwalając na papierze ustne gawędy i dorabiając się nie tylko własnego stylu barokowo-sarmackiego, ale także specyficznej formy piśmiennictwa zwanej sylwą – od łacińskiego *silva rerum*, czyli „las rzeczy". Co by oznaczało, że także *wielikij, moguczij russkij jazyk* jest nieco przereklamowany.

Banderowcy, ukraiński nacjonalizm i granice polskiego wsparcia

Próba kryminalizowania patriotycznie wzmożonych, a zarazem przewrażliwionych Ukraińców poprzez penalizowanie kozackich pseudotradycji oraz oficjalnie zatwierdzonego w armii okrzyku „herojam sława"

może się wydawać samobójcza z punktu widzenia koncepcji współistnienia narodów. Potwierdza bowiem sfabrykowany na kosmopolitycznej lewicy zarzut o przyrodzonej wrogości wszystkich nacjonalizmów: że samo założenie istnienia narodu jako zjawiska naturalnego – a nie przypadkowego społeczeństwa połączonego jakimiś iluzjami – musi prowadzić do podejścia transakcyjno-egoistycznego. I do klepania, ku uciesze gospodarczych wolnościowców, że w polityce zagranicznej nie ma miejsca na moralność. Jak jakiś geszefciarski handełes.

Nie będę tu rozstrzygał, czy jest, czy jej nie ma. Zauważę jedynie, że zimna wojna była walką o serca i umysły ludności dwóch pierwszych i trzeciego świata, a wygrała ją ta strona, która sprawniej wymachiwała sztandarem wolności. W tym także wolności gospodarczej, rzecz jasna – ale jako jednej z kilku równorzędnych wartości.

Stepan Bandera jako problem współczesnej Ukrainy

> Dotychczas Ukraińcy wymachiwali sztandarem wolności zaskakująco dzielnie. Odkąd jednak z narodową dumą – a nie jak wcześniej, nieśmiało i pokątnie – umieścili na nim Stepana Banderę, wymachiwanie to przestało sprawiać wrażenie uczciwego. Bo jakim cudem kraj wieloetniczny, obdarowany – albo obarczony – licznymi mniejszościami narodowymi, miałby pomieścić u siebie ukraiński nacjonalizm integralny?

I nie dajmy sobie wmówić, że marzeniem Bandery była po prostu suwerenna Ukraina, przepełniona różnorodnymi etnosami, byle tylko wszystkie identyfikowały się jako ukraińskie.

Jak etatowi „białoruscy Polacy" w oczach ich „baćki" Łukaszenki, dla których, cytuję, „językiem codziennej komunikacji" jest najoczywistszy rosyjski. Skoro Szkoci mówią po angielsku, to po co Polakom polski? I *à rebours* – po co ukraińskim Rosjanom rosyjski? Żeby knuli z mniejszością węgierską? Czyli znowu nawet nie niemieckie multi-kulti, lecz jakaś sowiecka Cepeliada – od Centrali Przemysłu Ludowego i Artystycznego, instytucji zajmującej się promocją i sprzedażą polskiego rękodzieła ludowego.

> Jeśli więc Ukraińcy potrzebują przed całym światem żalić się, że Polacy stereotypizują ich jako skrzyżowanie „średniowiecznego zbója" z „chytrą babą z Radomia", powinni się poważnie zastanowić nad własną kondycją moralną.

Jednak wobec ich marnej – przede wszystkim materialnie – kondycji „zwykłym" Ukraińcom można i należy dawać symboliczne fory oraz drobne ekonomiczne handicapy, nawet jeśli ich aktywiści „odwdzięczają" się prowokacjami i sowiecką narracją o polskim rasizmie. Trzeba jednak przy tym systematycznie przypominać wszystkim, że każdy kolejny blef ze strony ich elit może się dla nich skończyć pokerowym „sprawdzam".

Co zresztą samo w sobie jest zagrywką. Ostrzeżenie albo działa, albo – jak w przypadku Kozaków zaporoskich – nie działa. Po haśle „sprawdzam" rozgrywka jest już skończona.

Nagranie: https://www.youtube.com/watch?v=MN0muI0l5jE

Oryginał: https://nlad-kopia1113.instawp.site/scenariusze-cyrylica-pisane-banderyzm-rosja-i-polska-naiwnosc/

WSPÓŁTWÓRZ NOWY ŁAD

Za Nowym Ładem stoją czytelnicy, którzy dorzucają się do jego istnienia. Dołącz do nich — jednorazowo, w kwocie, która Ci odpowiada.

DOŁĄCZAM

wspieram.nlad.pl

Zeskanuj, aby wesprzeć